

BIBLIOTECZKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH

KAZIMIERZ TETMAJER

KSIĄDZ PIOTR



39

GEbETHNER I WOLFF

KSIĄDZ PIOTR



KAZIMIERZ TETMAJER

KSIĄDZ PIOTR

WYDANIE JEDENASTE



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA
1946



8-3
Tel.
Książ.



505

74

8-3
Tel.
Książ.
74

Tekst według pierwszego wydania
Kraków, 1896

Wydawca: Gebethner i Wolff, Kraków, Rynek Gł. 23
Nr 49/45 — 1946

Drukarnia Przemysłowa K. Podgórczyka i Sp. w Krakowie

M-05453

— Jakiegoś to herbu, panie Dzięgielewski? —
Cykoria?

— Ozoria, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha!... No proszę, kto by myślał... A napiłbyś się, panie Dzięgielewski herbu Ozoria, wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakąż byś wasan dziś preferował¹⁾: anyżówkę czy kminkówkę?

— A no, tak po prawdzie żeby powiedzieć, to kminkówka ze względu, jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racjonalniejsza.

— O! Jakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim Króla Ducha komponował. Ale cóż to ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie żeby powiedzieć, to ona może i nic do niego nie ma.

— To dlaczegóż wasan²⁾ powiedziałeś?

¹⁾ Wolął; ²⁾ wasan — skrócone waszmość pan, tytuł używany między szlachtą.

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje...

— Ho! ho! panie Dzięgielewski, organisto kłonic! Pamiętasz, jakim was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zbierało? I karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz, nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w piątym pułku ułanów, za księcia Konstantego? ¹⁾ Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księżu kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy ode mnie. Wieleż to wiosen sobie liczysz?

— W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofazji Zaściańskiej, Ozoria Dzięgielewskich małżonków.

— I od razu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski, organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wąsy mieć dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin dentatus ²⁾, co się z zębami urodził, dlaczegóżby nie miał być Dzięgielewski „wą-

¹⁾ W. książę Konstanty (zm. 1831) — syn cara Pawła I; od r. 1816 wódz naczelny wojsk polskich w Królestwie Kongresowym;

²⁾ zębaty.

satus“? Czyś to cò gorszego od jakowego poganina albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy osiemset osiemdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dziegielewski herbu Cykoria?

— Ozoria, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żeby ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, to by brakowało dziesięć.

— A żebym miał sto, to by nie brakowało nic, prawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmnie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz...

— A nibyś taki, panie Dziegielewski, w rachunkach nagły jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok ¹⁾, osiemdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dziegielewski, trzynastka, feralna ²⁾ cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Załański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki?

¹⁾ Na psa urok — wyrażenie, używane często, gdy się nie chce przynieść szkody komu lub czemu, wywołać sprzeciwu losu; ²⁾ zło-wróźbna, nieszczęśliwa.

Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść, jakem huknął z ambony ku panu Karasowskiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napileś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtą, tak. Na tę intencję łykniesz sobie naprzód anyżówki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Łyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakaśże teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicje! ¹⁾

— No to idźże teraz, panie Dzięgielewski, do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazji Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski herbu Cykoria.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozoria!

I pan Dzięgielewski obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

¹⁾ Delicja (łac.) — rozkosz.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym, wolnym krokiem szepcąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy ¹⁾, Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł najprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, puścił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj, i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża ²⁾ jelenie, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hiacyntom i azaliom, albo wybujałym pod oknem małwom i słonecznikom, niekiedy przewiodł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach ³⁾, lub też nie przerywając szeptu pacierza przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił i siedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrział, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w pąsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom krzyczał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary, obłaskawiony żuraw, Marcin, żróbki płoszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na gło-

¹⁾ Pies do gonienia zwierzyny na polowaniu; ²⁾ poroże — rogi zwierzęce; ³⁾ fajki, wyrobione z tzw. pianki morskiej — krzemianu magnezji, zawierającego wodę.

wie przechodziły nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztaczały świetne ogony i puszyły się wlokąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały znad dachów i wznosiły się nad nie zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało poświatl¹⁾ mieniając na lipach i brzozech.

Ksiądz Piotr nie przestając się modlić patrzył w okno siwy i cichy, z dłońmi, zetkniętymi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonicim łąnom, lasom i wodom rybnym, i ludziom, w polu robiącym, i trzodom, co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora²⁾, pana marszałka, i pociągnawszy kilka-
naście razy pochylał się w tył w fotelu i zaczynał drzemać, przy czym zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo na-

¹⁾ Blask; ²⁾ kolator (łac.) — fundator kościoła lub następca tegoż.

prawdę „sielskie anielskie“ w Załanach; służba pod księciem Konstantym, rewolucja listopadowa, kilka lat emigracji ¹⁾, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby Bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi ²⁾ po rozkazie...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza jak moja dziewczka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czymśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak ³⁾, Sobek, chłopak z Załan, szabli nie dopolerował albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego żaden chłop z Załan z kosą do Kościuszki nie poszedł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego, Stanisława, jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopci tak zsiekli, że go poznać nie można było ⁴⁾. Ja poszedłem robić ekspiację ⁵⁾ za siebie i za innych Załańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, wzglę-

¹⁾ We Francji, dokąd udała się znaczna część wojska i inteligencji polskiej po upadku rewolucji listopadowej, w r. 1831;

²⁾ bez wytchnienia; ³⁾ luzak — sługa kawalerzysty; ⁴⁾ w roku

1846 — tzw. rzeź galicyjska; chłopci, podżegani przez urzędników austriackich, dopuszczali się mordów na szlachcie; ⁵⁾ ekspiacja

(łać.) — pokuta, zmazanie winy.

dem których czułem się winny... a przez którą to winę czułem się winny wobec całej Ojczyzny. Bo gdybyśmy byli wszyscy w pole wyszli, Jezus Maria! ho! ho! A czy ty myślisz, kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzczyć i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze jak węgierska wojna wybuchła ¹⁾, o małym sutanny na kołku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w kąt, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i diabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą porbrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stapał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem już bym za skarby świata mojej sutanny nie zwłóknął i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiację podjął, żebym ja, pan z panów i oficer kawaleryjski, między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze niósł, tom się w tym potem rozmiłowałem... Myślałem sobie: co ja tu jedną duszę w tych Kłonicach polską zrobię, tośmy bliżsi zmartwychwstania. A potem rozmiłowałem się i w rzeczach Boskich i zacząłem te dusze nie tylko polskimi, ale i Boskimi robić. I myślałem sobie zno-

¹⁾ W wojnie Węgrów z Austrią w r. 1848 czynny udział po stronie Węgier brali Polacy.

wu: co ja tu jedną duszę kłoniczą Bogu przysposobie, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny, Zalańskim choć po roku jednym pokuty czyścicowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować, i tę miłość w kłonicze dusze szczepić... I powiedz mi, może być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, Ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kłonicze dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są nawet często dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobażać, i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mi on przed pierwszą batalią¹⁾ powiedział: „a mnie wciórności²⁾ do tego“ — i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegoś się zameldowałem, to spełniłem; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedym ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klaczkę turecką ujeżdżał, a potem ją na tej samej klaczy wykradł, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczeńskiego; że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józefata iść... Ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho!... Nie ma tam gdzie pana Dziegielewskiego?

Bez pana Dziegielewskiego nie mógł się staru-

¹⁾ Batalia (franc.) — bitwa; ²⁾ wciórności (lud.) — diabli.

szek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dziegielewski, z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem, Kacprem Dziegielewskim herbu Ozoria, z Litwy i znalazł przytułek w kłonicim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisarzowi w rachunkach, ale że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu i taką z miechów czułość wydobywać umiał, aż się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organiściwą, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dziegielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy ¹⁾ o wszystkim, zaczawszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy ²⁾. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką przekręcając mu Ozorię na cykorię, co się co najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dziegielewski nosił na codzień czarny halstuc ³⁾ na szyi, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedzielę zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika, halstuc z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy, kamizelkę sieraczkową ⁴⁾ i nowe, pasiaste spodnie. Miał pan Dziegielewski czapkę z daszkiem, chustki

¹⁾ Rozmowy; ²⁾ motylca — choroba owiec; ³⁾ rodzaj krawata; ⁴⁾ sieraczkowy — z grubego sukna.

do nosa czerwone z brązowymi kółkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczętkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażerią, jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowwał i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy ¹⁾, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii, i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał. „Mój sąsiad — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopci blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnice; a ja mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy Mu się dzwon wyżej, czy też niżej lipy majda ²⁾, to Mu także wszystko jedno, byle Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnie by się też to i owo

¹⁾ Rewerenda (łac.) — sutanna; ²⁾ kołysze.

na kościele dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gęba niż dziura w gontach kościelnych“.

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty, w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadził, przeszło pół wieku bowiem już na parafii kłonickiej siedział. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego w bród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z nimi rozmawiał. Jedne chwalił, na drugie zrządził, nad innymi się litował. Trzeba było słuchać. — Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażeś się złamał, widzisz. Poczekajże, to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się to rozpanoszył! Myślałby kto, że Bóg wie co! Jaką tulipan zamorski, albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden! Patrzcie! Będzie na płot laził! Jak żeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi uczciwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutki. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho! ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach! Ho, ho!“

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po obiedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspomnień nabierał rycerskiego animuszu, a że zdziecinniały już był trochę przez lata podeszłe, ofiarą padał pan Dziegielewski. Kiedy się zaniósł na zawieruchę w sześćdziesiątym trzecim¹⁾, ksiądz Piotr zakasawszy poły od sutanny ze starą ułańską szablą w rękę

¹⁾ W r. 1863/4 powstanie polskie przeciw Rosji.

musztrował na dziedzińcu plebanii ochotników, między którymi był i pan Dziegielewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek był od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry.

— Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Baczość! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziajany, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się jego postawie szturchając go lekko cybuchem pod brodę i obciągając sieraczkową kamizelkę ku pasiasystem spodniom.

Cwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irytowały mocno gospodynię księdza kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako „i z powagą stanu kapłańskiego nie licujące, i zdrowiu jegomości szkodzić mogące“.

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który słynął niegdyś jako rębacz i jednaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz „rozjechaną“ od ucha po szyję, zachciało się spróbować, czy mu jeszcze „ręka chodzi“.

— Panie Dziegielewski, weź no dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł wstając z fotelu i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Na co, że śmiem zapytać?



— Zobaczysz. Paruj no ¹⁾ kwartę ²⁾.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń waść brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie żeby powiedzieć! Wedle czego?!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj. Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Przygnij się. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem, jak panna Klocia Tymiańska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał... na siedemnaste urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna. Tupnij! Raz, dwa! Wypnij piersi. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! *Gardez vous!*

— Podług rozkazu, księżu kanoniku!

— Teraz baczność! *En garde!* ³⁾ Łup!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nie tylko w brzuch pana Dziegielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksjami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

„Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermiery“ ⁴⁾

zadeklamował ksiądz Piotr stając nad skorupami, ale wtem panna Katarzyna Capikówna wpadła do pokoju, czerwona jak pomidor, gwałtowna jak bomba.

¹⁾ Parować (z franc.) — zastawiać się, odbijać cięcie pałasza;

²⁾ kwarta — uderzenie poziome w kierunku od strony lewej ku prawej; ³⁾ en garde (franc.) — baczność — słowa komendy, rozpoczynające szermierkę;

⁴⁾ „Hamlet“ Szekspira, akt. V, scena II.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany ¹⁾ nieco ksiądz Piotr nadrabiając miną.

— Wstyd i obraza Boska! Żeby tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik jak fircyk ²⁾ z cybuchem po pokoju. A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmieilił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podłotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizoleczkę białą i żabocik! ³⁾ Patrzcie! — i zaperzona wypadła jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

— Baba jest zwyczajnie jędza — mruczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby tak padło, ho, ho!

Lubił ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wyjść i na ławce pod starym ciemem siadłszy w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony konieczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny,

¹⁾ Zmieszany, zawstydzony; ²⁾ fircyk — trzpiot; ³⁾ żabocik, zdrobn. od żabot — strój francuski eleganta 18 wieku — koronkowa ozdoba, przysłaniająca koszulę na piersiach.

jakoby pod drżącą, przeźroczą gazą złotoszmaragdowego światła, i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej ¹⁾ wodną, nenufarami ²⁾ żółtymi u brzegów i szeleszczącym sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad nim czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś śreżogę ³⁾ światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejs polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojen pełne...

Ksiądz Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynił mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora, i czaple na szerokich białych skrzydłach, i stada krzykliwych czajek, i obłoki przejrzyste, i niebo jasnobłękitne, wszystko to napępniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, ja-

¹⁾ Rozchwiej — rozchwiana przestrzeń; ²⁾ nenufar — grzybień, lilia wodna; ³⁾ śreżoga — tu: blask jaskrawy.

koby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie, więcej duchem niż oczyma, poczynąło się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynąły się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje ¹⁾ morskie, z okrętami o białych żaglach, i olbrzymie przewieje pustynne; poczynąły w niej szumieć cedry ²⁾ Libanu i palmy oaz arabskich, poczynąły w niej rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynąły się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owe rzymskie martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy, i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos ³⁾ wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignas Znajda, budził go z zadumy ciągnąc za sutannę:

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosić, co by jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

¹⁾ Przewieja — przestrzeń wielka, po której wiatr swobodnie przewiewa; ²⁾ wspaniałe drzewa iglaste wspominane w biblii; ³⁾ chaos (z gr.) — bezład, odmęt.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pòn Jezus to tak po niebie chodzi jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosi?

— A pewnie. Po cóż by tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho, ho! jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce do nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesce lepejszy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi je Pombók?

— Taki jak i Pan Jezus!

— Jegomość!

— A co?

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, co by jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to pódźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.

I Ignaś brał za rękę księdza Piotra, i szli razem

ścieżką ku plebanii rozmawiając po drodze dużo i serio ¹⁾).

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studiujący dniami i nocami dzieła teologiczne ²⁾), małą mu był wyręką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tym bardziej, iż zawsze zapowiadał, że od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesienno wieczoru, kiedy słońce zaszło ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dziegielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelarii parafialnej. Tam... — I pokazał ręką ku bielejącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dziegielewski zachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dziegielewski, organisto kłoniczki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

¹⁾ Serio (wł.) — poważnie; ²⁾ teologia (z gr.) — nauka o Bogu i rzeczach boskich: duchowych.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunie przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“¹⁾, albo „Naśladowaniem Chrystusa“²⁾ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mniej, starego bajdę³⁾.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwięzłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dziegielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dziegielewski herbu Cykoria, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham, księże kanoniku.

— Słyszysz?

¹⁾ „Summa teologiczna“ — św. Tomasza z Akwinu (XIII w.);

²⁾ „O naśladowaniu Chrystusa“ — Tomasz à Kempis (1380—1471);

³⁾ bajda (gw.) — bajczarz.

— Słyszę jak wiatr po ogrodzie szuści ¹⁾.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika do-
brodzieja.

Ksiądz Piotr pomilezał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne, i chóry anielskie, i wonie rajske mogą być, i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owi-
nęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dziegielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii, i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu, jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu, w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dziegielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

¹⁾ Szuścić (gw.) — szeleścić.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dziegielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświęci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola U nas w rodzie mało kto na łóżku gaśł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, co by z nimi było, tak jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dziegielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem ¹⁾ przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, orderzy moje wojskowe na pierś. Sygnet ²⁾ zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mię kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dziegielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dziegielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dziegielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księżę kan-n-nnoniku dobrodzieju...

¹⁾ Korab — herb; ²⁾ sygnet — pierścień herbowy.

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być jak było, póki nie wymrze albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej prawie litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może, da Bóg, jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Marią Antoinetą¹⁾ i kałamarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa bu-

¹⁾ Maria Antoinetta, tj. Antonina — królowa francuska, przez rząd rewolucyjny skazana na śmierć w r. 1793.

hajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową ¹⁾ z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księżę kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przede mną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobuǳisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... To jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawieǳło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nic, tylko marność... Rok, dwa będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

Jak mi się też żywo przypomina, jakem to pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu ochrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno...

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha

¹⁾ Szyldkretowy — z szyldkretu, tj. wyrobioną z tarczy kostnej żółwia.

i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru poruszając liśćmi jakoby przymykał i odchyłał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dziegielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Nie ma co, nie ma co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... Nigdy się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa...*¹⁾ A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dziegielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace*²⁾, każesz ze wszystkich moździerzy³⁾ parafialnych huknąć... Pamiętam, w Olszynie⁴⁾ leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dziegielewski... Popraw no ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

¹⁾ Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina; ²⁾ niechaj spoczywa w pokoju — słowa modlitwy za zmarłych; ³⁾ moździerz — armatka; ⁴⁾ Olszynka — lasek olszowy; w bitwie pod Grochowem 25 lutego 1831 r. osłaniał wojsko polskie. O lasek ten toczyły się zżarte walki między Rosjanami a wojskiem polskim.

Po czym ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dziegielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej, i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignas Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podeszedł on ku fotelowi księdza Piotra i pociągnawszy go lekko za sutannę ozwał się:

— Jegomość! Póďte! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, co by jegomość śli spać. Póďte, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się ani nie odpowiedział, wówczas Ignas podniósł wielkie oczy na pana Dziegielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomerli?

